

Kiedy miłość i młodość  
okazują się silniejsze niż wojna

MAŁGORZATA  
ZIELIŃSKA

# PTAKI

NAJPIĘKNIEJ  
ŚPIEWAJĄ NOCĄ

LIRA  
WYDAWNICTWO

**PTAKI**

**NAJPIĘKNIEJ  
ŚPIEWAJĄ NOCĄ**



MAŁGORZATA  
ZIELIŃSKA

**PTAKI**  
NAJPIĘKNIEJ  
ŚPIEWAJĄ NOCĄ

LIRA  
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2025

ISBN: 978-83-68342-10-9

*Panie, gdzie jest moja spódnica,  
ta czerwona i biała,  
ze wszystkich kwiatów świata?  
Kto mi ją podarł na strzępy?  
Gdzie jest ona, powiedzcie!  
Mój Boże, taka śliczna była,  
jakże mam ją zapomnieć?*

Bronisława Wajs — Papusza



## PROLOG

Pociąg wolno toczył się po torach. Jechali już bardzo długo, zdawać by się mogło, że całą wieczność, jakby nic poza tym pociągiem nigdy nie istniało. Przez małą szczelinę w ścianie wagonu, przy której tłoczyli się pasażerowie, by zaczerpnąć choć odrobinę powietrza, dostrzec można było zmieniające się pory dnia. W tej chwili niebo było pomarańczowe. Czerwone promienie zachodzącego słońca wdzierały się do środka, znaczyły ciała więźniów krwawymi plamami. Za chwilę zrobi się zupełnie ciemno, a wraz ze słońcem zgaśnie ich ostatnia nadzieja na ratunek.

Mela oddychała ciężko. I znowu to samo. Znowu znalazła się w pułapce, z której nie było wyjścia. Tłum napierał na nią ze wszystkich stron, nie pozwalając się poruszyć. Jęki chorych, płacz małych dzieci oraz ciche modlitwy zlewały się w jedną całość, sprawiały, że traciła zmysły. Pod nogami czuła coś miękkiego, zapewne ciało jednego z tych nieszczęśników, którzy z wycieńczenia odeszli już z tego świata, lecz bała się spojrzeć w dół. Najgorszy był ten niewyobrażalny smród unoszący się w powietrzu, który przyprawiał ją o mdłości.

Miarowy stukot jadącej lokomotywy z czasem stał się dla niej odgłosem nie do wytrzymania. Wdzierał się w każdy zakamarek jej umysłu, doprowadzał do czarnej rozpacz. Mela nienawidziła tego dźwięku, wiedziała, że to uczucie będzie towarzyszyć jej już do końca życia. A przecież zawsze lubiła pociągi. Przypominały jej o dawnych czasach, o wakacjach, na które jeździła razem z rodzicami. Ach, jak cudownie byłoby móc znowu poczuć powiew świeżego



powietrza na twarzy, gdy wychylało się głowę przez okno, spojrzeć raz jeszcze przez szybę na piękne widoki, pokryte rzepakami pola oraz rozciągające się w oddali lasy, czekać niecierpliwie na cel podróży, kiedy wiedziało się, że będzie tam coś dobrego, coś, co pozostawi miłe wspomnienia na długie lata.

A teraz? Co teraz ją czekało? Doskonale zdawała sobie sprawę co. Kiedy Niemcy pakowali ich do bydłych wagonów, słyszała, jak powtarzają między sobą słowo „Lager”, a to oznaczało tylko jedno — wywożą ich do obozu.

W zasadzie to czego innego mogła się spodziewać. Przecież już w Pruszkowie więźniowie powtarzali między sobą, że z pociągu nie ma odwrotu, cel jest jedyny — Auschwitz, a Auschwitz to śmierć.

Auschwitz... Auschwitz... Samo to słowo wywoływało gęsią skórkę. Ludzie bali się wręcz wypowiadać je na głos. Nikt do końca nie wiedział, co czeka na niego na miejscu, lecz jedna rzecz była pewna — ktokolwiek tam trafił, już nie wracał.

Zatem już niedługo przyjdzie jej pożegnać się z ukochanym życiem. A może już umarła i trafiła do piekła? Jeśli tak, jak dobrze, że Świst trafił tam razem z nią.

W ciemności spojrzała na przyjaciela. Na jego twarzy malował się spokój, a mocny uścisk dłoni dodawał jej otuchy. Gdyby nie to, pewnie już dawno osunęłaby się na ziemię i dołączyła do tego biedaka, który leżał teraz u jej stóp.

— Trzymasz się? — Usłyszała w ciemności jego głos. — Jeszcze tylko trochę, już niedługo, wytrzymaj.

— Tak, jeszcze trochę i nas zabiją — powiedziała gorzko, czując ostre palenie w gardle. Tak bardzo chciało jej się pić. Oddałaby wszystko za odrobinę, choćby najmniejszy łyk, wody.

Ale zaraz, zaraz... Co niby miałyby oddać? Przecież nie posiadała już absolutnie niczego. Wszystkie jej rzeczy, razem z ukochanym domem rodzinnym, stały się częścią ogromnego gruzowiska, które zostawiła za sobą w zrównanej z ziemią Warszawie. O rodzicach i siostrze nie wiedziała już nic od dawna, wiele razy zastanawiała się, gdzie są i czy w ogóle jeszcze żyją. Teraz jedyną bliską jej osobą był Świst, jej najlepszy przyjaciel, liczył się tylko on i ten bydlęcy wagon, który być może stał się początkiem końca ich wspólnej drogi, jaką przeszli najpierw podczas okupacji, a później w powstaniu.

— Nie mów tak. Zobaczysz, że zaraz trafi się okazja i zwiejemy szwabom sprzed nosa. — Świst jak zwykle starał się zachować optymistyczny ton. Zawsze taki był, zawsze starał się znaleźć światełko nawet w najczarniejszym tunelu, a jego spryt pozwolił im wyjść cało z niejednej trudnej sytuacji.

— Jaka okazja? Drzwi są zamknięte. Już samo dopchanie się do nich jest niemożliwe, a co dopiero ich otwarcie. Nie damy rady. To koniec — krakała dalej Mela.

— A może zdarzy się cud i ktoś lub coś nam pomoże? Nie trać wiary, Meluś.

Kiedy stało się pewne, że powstanie upadnie, Mela i Świst zdecydowali się wyjść ze stolicy wraz z ludnością cywilną. W miejscu, w którym kiedyś stał dom dziewczyny, znaleźli jedyne nienaruszone przez bombardowania drzewo i zakopali pod nim swoje powstańcze opaski. Później czekał ich jeszcze wykańczający marsz do obozu przejściowego w Pruszkowie, podczas którego życie straciło tak wiele osób. Długiej trasie nie podołali bowiem ludzie starsi, chorzy oraz kobiety w ciąży, których co parę metrów dostrzec można było leżących na poboczu i konających

w męczarniach. Ktokolwiek próbował ucieczki, Niemcy natychmiast otwierali ogień i zabijali go na miejscu. Przyjaciele sami byli u kresu sił, kiedy w końcu dotarli na miejsce. Nie dane im było jednak odpocząć. Już następnego dnia skierowano ich do kolumny osób wyznaczonych do wywózki.

— Zobacz, tyle już razem przeszliśmy i przez cały ten czas nas nie rozdzielono — pocieszał ją dalej Świst. — Teraz też przetrwamy i uciekniemy, we dwoje.

Słońce już zaszło. Podróż ciągnęła się w nieskończoność, a przez szczelinę w ścianie wagonu dało się zauważyć, że zapadł zmrok. Pociąg od samego początku nie jechał zbyt szybko, jednak teraz czuć było wyraźnie, że zwalnia. W pewnym momencie zatrzymał się, a wraz z nim wszyscy zamarli bez ruchu, nie wiedząc, co ten postój może oznaczać.

— Gdzie jesteście?

— Co teraz z nami będzie?

— Boże, zbaw nas od złego — lamentowali jeden przez drugiego więźniowie. Mimo ciemności ich przerażone i pełne napięcia twarze dostrzec można było bez trudu.

Po paru minutach wyczekiwania na najgorsze gdzieś w oddali rozległy się pokrzykiwania Niemców. Zaraz też uszu wszystkich dobiegły pojedyncze wystrzały z broni.

W jednej chwili ludzie wpadli w panikę, a w wagonie zapanał kompletny chaos. Każdy starał się na siłę wepchnąć pod ścianę i znaleźć jak najdalej od wyjścia, jak gdyby miało go to uchronić od rychłej śmierci.

Głosy żołnierzy stawały się coraz donośniejsze. Słysząc było, jak ktoś otwiera ciężkie drzwi wagonu znajdującego się gdzieś na przedzie, a potem następne i następne.

To koniec, rozstrzelają nas, pomyślała Mela. Łzy popłynęły jej po policzku, nawet nie próbowała ich zatrzymać.

Nie chciała już być dzielna, pragnęła jedynie żyć, być wolna, znaleźć się znowu wśród najbliższych, w domu. Nawet pobladły ze strachu Świst zdawał się stracić resztki nadziei.

W końcu otwarto również drzwi do ich wagonu. Przez przerażone krzyki więźniów przedarł się ostry głos niemieckiego żołnierza, który stał na zewnątrz, mierząc do nich z karabinu.

— Ruhe! — wrzasnął, co poskutkowało niemal natychmiast i wszyscy zamilkli.

Mela zamrugała intensywnie, wyostrajając wzrok. Ponad głową Niemca widać było połacie drzew. A zatem byli gdzieś w środku lasu.

Mężczyzna złowrogo przyglądał się upchniętym w wagonie więźniom. Wyglądał, jakby tylko czekał na moment, aż któryś z nich wystawi kawałek stopy poza linię wyjścia, a wtedy będzie mógł bez skrpułów otworzyć ogień. Jeśli zaczną strzelać, zabije wszystkich, nikt nie śmiał się więc poruszyć w obawie przed wymierzoną w tłum lufą karabinu.

— Kwiatkowski! — Zabrzmiał w oddali tubalny, męski głos. — Kwiatkowski Leon!

Dalej słychać było już tylko jęki więźniów i wrzaski Niemców usiłujących zapanować nad tłumem.

Dwóch żołnierzy podeszło do wagonu, w którym znajdowali się Mela i Świst, i po niemiecku kazali wszystkim wychodzić. W jednej chwili więźniowie jak w amoku zaczęli pchać się do przodu, taranując siebie nawzajem.

Serce Meli zabiło szybciej. Czyżby mieli skończyć zamordowani gdzieś w lesie, w masowym grobie, zapomniani przez Boga i świat? Nie tak to sobie wyobrażała. Jej przeznaczeniem było zginąć z bronią w ręku lub niosąc pomoc swoim rannym kolegom. Odruchowo nie ruszała się

z miejsca, a nacierający tłum deptał jej po stopach, potęcał łokciami i uderzał w plecy. Czowała, jak Świst trzyma ją z całych sił za rękę, aby tylko nie zdołano ich rozdzielić. Ostatecznie znaleźli się na zewnątrz ostatni i stanęli tuż pod ścianą wagonu.

— Kwiatkowski Leon! — Głos Niemca stawał się coraz ostrzejszy, jakby jego właściciel tracił już cierpliwość. Inni chodzili pomiędzy więźniami z karabinami gotowymi do wystrzału, świecąc latarkami po ich przerażonych twarzach.

— Szukają kogoś... — szepnęła Świst, za co przechodzący koło niego żołnierz zmierzył go zimnym spojrzeniem.

— Ruhe — warknął.

Wyglądało na to, że domniemany Kwiatkowski nie miał zamiaru tak łatwo się ujawnić. Mela nie chciała nawet myśleć o tym, co zrobią Niemcy, jeśli go nie znajdą.

Nagle wśród zebranych podniósł się rwetes, a w tłumie zapanało zamieszanie. Dzikie wrzaski, piski oraz płacz zlały się w jedną wielką kakofonię dźwięków. Nikt nie wiedział, co się dzieje. Żołnierze rzucili się na więźniów, rozpychając ich na wszystkie strony i torując sobie pomiędzy nimi drogę. W pewnej chwili z kotłowaniny wydostała się jakaś postać. Od razu dało się rozpoznać, że to mężczyzna. Biegł teraz co sił w nogach w kierunku lasu. Nim jednak zdążył dopaść pierwszego z drzew, dosięgły go kule niemieckich karabinów.

Donośny dźwięk wystrzałów rozniósł się echem po ogarniętym mrokiem lesie. Uciekinier padł martwy na ziemię, a żołnierze natychmiast pospieszyli ku niemu.

W tym jednym momencie, w jednym ułamku sekundy wszystkie głowy zwróciły się w stronę uciekającego mężczyzny. Na tę okazję Świst tylko czekał. Błyskawicznie złapał

Melę za rękę i nurkując pomiędzy nogami więźniów, przedostał się wraz z przyjaciółką na tory pod pociąg.

Do Meli dopiero po chwili dotarło, co się dzieje. Zrozumiała, że jeśli chcą się stąd wydostać żywi, muszą działać szybko. Mieli tylko jedną szansę. Jeśli ją zmarnują, zginą.

Wokół wagonów kręcili się żołnierze z karabinami. Świst wskazał bezgłośnie na gęstwinię drzew rosnącą w niedalekiej odległości od torów. Mela kiwnęła głową. Obydwoje zaczęli się czołgać pod pociągiem. Wiedzieli, że muszą się spieszyć, jeśli nie chcą zostać wykryci i na wypadek, gdyby Niemcy postanowili policzyć swoje ofiary przed ponownym wepchnięciem ich do wagonów. Brnęli po torach, posuwając się mozolnie do przodu. Mela przez cały czas czuła, jak zdiera sobie skórę z kolan i łokci, lecz nie miało to teraz żadnego znaczenia. Liczyło się tylko to, aby za wszelką cenę wydostać się z tego piekła.

W pewnym momencie usłyszeli, jak Niemcy każą wszystkim wsiadać z powrotem do pociągu. Świst zdołał wyczołgać się z drugiej strony i rozejrzawszy się wokół, pospiesznie przedostał się w wysoką kępę trawy. Dał Meli znak, a ta dołączyła do niego i razem zaczęli przesuwac się w stronę drzew.

Odgłosy szamotaniny i pokrzykiwania żołnierzy stawały się coraz bardziej odległe. Ciemność nocy im sprzyjała. Żaden z oprawców nie zauważył, że z tłumu zniknęły nagle dwie głowy. Wszyscy zajęci byli upychaniem przerażonych więźniów z powrotem do wagonów.

Świst pierwszy dopadł do wysokiego drzewa rosnącego w pobliżu torów. Wychylił się zza niego, upewniając się, że nikt ich nie goni. Mela w okamgnieniu znalazła się tuż obok i tak jak poprzednio ruszyli po ziemi, czołgając się dalej w głąb lasu. Kiedy byli już dostatecznie daleko, wstali i skryci

pomiędzy drzewami pobiegli dalej, co jakiś czas oglądając się za siebie, czy nikt przypadkiem nie postanowił ruszyć za nimi w pogoń.

Tak się jednak nie stało. Niemcy nie zorientowali się, że z tysiąca niewinnych skazanych na zagładę dwoje młodych ludzi zdołało się wydostać ze śmiertelnośnego transportu i uciec. Mela i Świst biegli w las, mając ciemność za sprzymierzeńca i zostawiając coraz dalej za sobą ten zniechęcający stukot kół pociągu.

# ROZDZIAŁ 1

## *Przez las*

A co się działo dalej z więźniami jadącymi do obozu, kiedy przyjaciele zdołali zbiec Niemcom sprzed nosa i ukryć się w lesie? Ich losy ostatecznie potoczyły się nieco inaczej, niż się spodziewali.

Po przybyciu do Auschwitz od razu zagoniono ich do morderczej pracy za niewielką kromkę chleba i odrobinę wody dziennie. Niemcy nie zamierzali na tym poprzestać i przy każdej możliwej okazji znęcali się nad nimi w najlepsze, czerpiąc jakąś nieludzką przyjemność z cierpienia bezbronych Polaków.

Ale oprawcy nie przewidzieli jednej istotnej rzeczy — osadzeni byli gotowi znieść nawet najbardziej wymyślne tortury, żeby tylko dane im było zaznać tej wolności, o którą tak gorliwie walczyli. W końcu czymże jest niemieckie bestialstwo w obliczu polskiej odwagi oraz tej niespotykanej siły ducha, która na przestrzeni wieków już nieraz wzniosła się na wyżyny.

Bliskość końca wojny odczuwało się i w Auschwitz. Panował tam coraz większy chaos, nierzadko dochodziło do ucieczek, za którymi nie podejmowano już nawet pościgów. Mając przed oczami widmo przegranej wojny i zbliżających się Sowietów, Niemcy zarządzili w końcu ewakuację, lecz i tu męstwo oraz spryt Polaków nie zawiodły. Wielu z nich zdołało wytrzymać zabójczy marsz i pouciekało po drodze, a ci, którzy zdecydowali się zostać w opuszczonym obozie, szczęśliwie doczekali jego wyzwolenia.



Przez gęste korony drzew przebijała się okrągła tarcza księżycy, oświetlając swoim blaskiem niewielką, leśną ścieżynę. Wokół panowała grobowa cisza, gdzieniegdzie tylko dało się słyszeć pohukiwanie puszczyka. W powietrzu wyczuwało się coś niepokojącego, coś złego, co sprawiało, że Mela raz na jakiś czas odwracała się przez ramię, spodziewając się zobaczyć nie tyle goniących ich Niemców, ile coś o wiele groźniejszego.

W tak mrocznym otoczeniu jej wyobraźnia działała na najwyższych obrotach. Drzewa wyglądały jak strażnicy brzońcy wejścia do nieznannej krainy, do której zwykły śmiertelnik nie miał dostępu. Wyciągały ku intruzom swoje długie gałęzie, chcąc pochwycić każdego, kto ośmieliłby się naruścić ich spokój. Wiatr szemrał tajemniczo nad ich głowami, jakby próbował coś im powiedzieć, przed czymś ich ostrzec.

Mela od razu przypomniała sobie fragment niedawno czytanej powieści, w którym Scarlett O'Hara uciekała z ogarniętej pożogą Atlanty przed nacierającymi Jankesami. Bohalterka „Przeminęło z wiatrem” była zdana tylko i wyłącznie na siebie, a potrafiła ze wszystkim sobie poradzić. Mela nie była sama, miała Śwista, bez którego zapewne nie wydestaliby się z transportu. Powinna zatem wziąć się w garść jak Scarlett. Tak bardzo żałowała, że jej egzemplarz zapodział się gdzieś w ruinach zburzonej podczas powstania kamienicy, a ona nawet nie zdążyła poznać zakończenia...

Mela, a właściwie Alicja Rudnicka, choć od dawna nikt się tak do niej nie zwracał — wszystko przez jej konspiracyjny pseudonim, który przyjęła na cześć swojej ukochanej babci Melanii — od dziecka najchętniej otaczała się książkami. Wychowywała się wśród nich, a czytanie było jej największą pasją. Nic nie sprawiało jej większej radości niż popołudnie

spędzone przy kominku w ulubionym fotelu, gdzie pochłaniała stronę za stroną, wyobrażając sobie, że jest częścią tego wymyślonego świata, który tak wyraźnie rysował się w jej głowie. Kiedy rówieśnicy Meli spędzali czas na zabawach, ona siedziała z nosem w książkach. Koledzy lubili ją i uważali za sympatyczną, lecz jej nieśmiały charakter często odstraszał przed wspólnym spędzaniem czasu. Brak przyjaciół nigdy zbyt jej nie przeszkadzał, dobrze się czuła we własnym towarzystwie. Miała też coś, co rekompensowało jej wszelkie inne braki — rodzinę.

To właśnie rodzice zarazili ją miłością do książek, na przestrzeni lat zgromadzili bowiem w swoim mieszkaniu na warszawskim Mokotowie okazałych rozmiarów bibliotekę. Można było tam znaleźć dosłownie wszystko. Półki wręcz ugięły się pod ciężarem różnorodnych powieści, powiastek, bajek, baśni, dramatów, wierszy czy romansów. Państwo Rudniccy byli zamożnymi ludźmi, należeli do inteligentkiego środowiska przedwojennej Warszawy. Mieszkali w eleganckiej kamienicy, za sąsiada mieli samego Stefana Starzyńskiego. W ich mieszkaniu nierzadko gościli przedstawiciele warszawskiej śmietanki towarzyskiej. Mela oraz jej młodsza siostra Joasia dorastały wśród osób wykształconych, mających znaczną fortunę oraz pozycję społeczną.

Głowa rodziny, pan Stanisław Rudnicki, był niezwykle utalentowanym i cenionym w przedwojennej Warszawie architektem. Zastąpił jako współprojektant konstrukcji wieżowca Towarzystwa Ubezpieczeniowego „Prudential” przy warszawskim placu Napoleona razem z profesorem Stefanem Bryłą, za który obaj otrzymali liczne nagrody oraz wyróżnienia. Podobnie jak starsza córka uwielbiał przesiadywać z nosem w książkach. Wyglądało to mniej więcej tak, że w fotelu przy kominku siedziała Mela, a na dużym

szezlongu w swoim biurze, z którego wychodziły wszystkie jego projekty, leżał ojciec, oddając się lekturze.

Dziadek Meli został wcielony do wojska podczas I wojny światowej. Jego syn, siedemnastoletni wówczas Stanisław, również zgłosił się na ochotnika, aby towarzyszyć ojcu na froncie. Do domu wrócił tylko jeden z nich. Pan Rudnicki, mimo tak ogromnej straty, starał się wychowywać córki w duchu patriotyzmu i miłości do ojczyzny. Zawsze powtarzał jednak, że wojna to paskudna sprawa, zabrała mu bowiem ukochanego tatę.

Żonę swoją poznał właśnie na froncie, gdzie jako młoda, szesnastoletnia wówczas dziewczyna zgłosiła się do pomocy rannym i chorym w szpitalach polowych. Jadwiga Rudnicka była nauczycielką w prywatnej szkole tylko dla dziewcząt. W pracy ceniono ją za pełen profesjonalizm oraz ogromną wiedzę, którą dzieliła się nie tylko z uczennicami, ale także kolegami po fachu. Dziewczęta bały się jej, ponieważ w stosunku do krnąbrnych wychowanek potrafiła być bardzo wymagająca. Jednak każda z nich w głębi duszy wiedziała, że pod surowym obliczem ich nauczycielki kryją się duże pokłady dobroti oraz wyrozumiałości. Spod jej skrzydeł z najwyższymi wynikami wyszło wiele cenionych absolwentek szkoły.

Mela podziwiała matkę za to, że oprócz bycia wspaniałym pedagogiem umiała również zatroszczyć się o dom oraz jego mieszkańców. U Rudnickich nikt nigdy nie chodził głodny czy zaniedbany. Pani Jadwiga wpajała córkom dobre zasady i nawyki. Zawsze powtarzała, że porządny człowiek musi mieć nienagannie wypastowane buty, umyte uszy oraz wyprasowany kołnierzyk. W domu to ona grała pierwsze skrzypce. Ojciec, zazwyczaj schowany w swoim biurze, czasami wychodził z niego, aby już po chwili natknąć się na

pokrzykującą i rozstawiającą wszystkich po kątach żonę, która natychmiast goniła go do obowiązków domowych.

Rodzice bardzo się kochali, dbali o siebie nawzajem i o swoje córki. Od małego uczyli je tolerancji względem innych, samodzielności i dochodzenia do upragnionych celów poprzez ciężką pracę, pielęgnując w nich zalety oraz karząc za przewinienia. Mama zawsze pragnęła zrobić z Meli i Joasi dobrze wychowane, kulturalne młode damy. Starsza córka nie sprawiała żadnego problemu, gorzej było natomiast w przypadku młodszej dziewczynki.

Joasia, nie Joanna, jak zawsze podkreślała, rzadko kiedy słuchała czyichś rad. Młodsza od Meli o cztery lata była całkowitym przeciwieństwem siostry. Od dziecka uwielbiała zabawy typowe dla chłopców, to z nimi spędzała całe dni, ganiając po ulicach. Raz nawet wybrano ją hersztem ich bandy. Po ojcu odziedziczyła bujną wyobraźnię, a po matce upór i stanowczość. Niektórzy koledzy bali się jej, bo krzyczała na nich jak prawdziwa dorosła. Ciężko było zmusić ją do pracy oraz by zachowywała się, jak przystało na dziewczynkę z dobrego domu. Na pytanie, kim chce być, kiedy dorośnie, odpowiadała dziarsko, że zostanie żołnierzem i pojedzie na wojnę, co wywoływało zgorzniecie u niejednej starszej damy.

Siostry, mimo toczonych sporów, kochały się najbardziej na świecie. Pewnego dnia, już podczas okupacji, kiedy Joasia w najlepsze bawiła się z przyjaciółmi, na dziedzińcu ich kamienicy wpadł nagle rozwścieczony Niemiec w samym szlafroku i łamaną polszczyzną krzyczał, że dzieciaki zachowują się za głośno, przez co on nie może pracować. Joasia odpowiedziała na to zuchwale, że jeśli mu się nie podoba, może się w każdej chwili wynosić z ich ulicy. Rozsierdzony i poczerwieniały ze złości Niemiec złapał dziewczynkę za

ramię i szarpiąc nią na wszystkie strony, wrzeszczał, że zaraz zawoła żandarmów. Całe to zdarzenie z okna mieszkania widziała Mela. W okamgnieniu zbiegła na dół. Znalazszy się przy siostrze, starała się uspokoić mężczyznę zapewnieniami, że taka sytuacja więcej się nie powtórzy. Wtedy Niemiec zamachnął się i uderzył ją w twarz tak mocno, że dziewczyna zachwiała się i upadła na ziemię. Przez chwilę jeszcze mamrotał coś pod nosem, po czym odszedł, a przestraszona Joasia podbiegła do siostry i pomogła jej wstać. Zachowując zimną krew, Mela powiedziała tylko:

— Całe szczęście, że nie uderzył tak ciebie, bo byłabym zmuszona wydrapać mu oczy.

Kiedy tego samego dnia rodzice zastali Joasię przykładającą do obolałego policzka Meli kostki lodu, stwierdzili, że nie pozwolą, aby córkom stało się coś złego. Zaangażowani w działalność konspiracyjną sami obawiali się, że któregoś dnia do mieszkania wpadnie gestapo, by ich aresztować, a wtedy Mela i Joasia będą musiały radzić sobie same. Rodziny już od początku okupacji doskwierała bieda. Niedługo po wkroczeniu Niemców pani Jadwiga dostała zakaz wykonywania zawodu. Jej mąż od wielu miesięcy nie otrzymał ani jednego zlecenia. I chociaż chętnie dzielili się z potrzebującymi wszystkim, co posiadali, im samym brakowało środków do życia.

Znając wybuchowy charakter młodszej córki, rodzice podjęli decyzję o wysłaniu jej na wieś do mieszkającej niedaleko Krakowa ciotki. Meli również zaproponowali wyjazd, jednak ta stanowczo odmówiła, nie chcąc opuszczać domu rodzinnego. Joasia nie miała nic do powiedzenia. Nie pomogły płacz, błagania oraz groźby o ucieczce. Piętnastoletnia dziewczynka sama z wielką walizką wsiadła do pociągu i odjechała w nieznaną.